Irena Erchard

Sygnatura notacji: **N0033**
Data urodzenia: **1935 r.**
Data nagrania: **2007 r.**
Miejsce nagrania: **IPN, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Anna Teresa Pietraszek**
Czas nagrania: **66 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

TRANSKRYPCJA

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Irena Erchard: Nazywam się Irena Erchard, z domu Adamczyk. To jest ważne, bo nazwisko ojca się przecież przewija w dokumentach wojennych. W dniu wybuchu wojny byłam niespełna czteroletnim dzieckiem, więc co takie dziecko może niby pamiętać? A ja doskonale pamiętam wszystko. Te przeżycia związane z utratą ojca, to całe życie, do dzisiaj to się czuje. Ojciec mój, Michał Adamczyk, ja się będę tak troszeczkę podpierała notatkami. Komendant posterunku policji państwowej w Sarnakach na Podlasiu, 17 września, 1939 roku wraz z dwoma kolegami, z Feliksem Kuciem i Wiktorem Śnieżkiem dostali się do niewoli sowieckiej i osadzeni zostali w obozie w Ostaszkowie. Należy dodać, że zarówno premier Sławoj Składkowski, jak i komendant główny policji, Kordian Zamorski, w porozumieniu z Naczelnym Wodzem, marszałkiem Śmigłym-Rydzem wydali rozkaz mobilizacji policji w całym kraju oraz wcielenie ich do sił zbrojnych państwa i ewakuowania na wschód Polski. Komendant główny w ostatniej chwili domagał się nadania policji praw kombatanckich, ale dlaczego? Dlatego, że byli przekonani, że dużo ich zginie, więc żeby rodziny miały jakieś z tego korzyści. Przepraszam za taki termin. Niestety to się już nie udało. Nie zdążyli. Do tej pory jesteśmy poszkodowani, bo nic w ogóle nie możemy wyegzekwować, jeśli chodzi o jakieś sprawy odszkodowawcze. Ale mamy coś w zanadrzu. Jeszcze Strasburg. Ale to jest już sprawa nie na teraz. Wszystkie te decyzje rozgrywały się błyskawicznie w ostatnich dwóch dniach sierpnia, 1939 roku. To jest bardzo ważne. Polska była nieprzygotowana w ogóle. Jeżeli wiedzieli, że Niemcy się szykują, to w ogóle się nie przygotowywali na to, bo chyba nie wierzyli, że uderzą. Ojciec mój zostawił troje małych dzieci. Najmłodsza moja siostra urodziła się w lutym, 1940 roku, a poszedł we wrześniu, czyli mama w jakimś stanie została i ona nigdy w życiu ojca nie zobaczyła. Żal utraty ojca, który nosiliśmy w sercach przez całe życie, spowodował, że od początku transformacji w 1989 roku postanowiliśmy walczyć o prawdę i o odnalezienie miejsca pochowku ojca, bo przecież nie wiadomo było, gdzie. Jedynym śladem była kartka pocztowa wysłana

w 1940 roku, z Ostaszkowa, która do dziś jest dla nas wielką drogą relikwią. To tak gwoli takiego wstępu. Cóż więcej? Był straszny lęk, niepokój. Ja doskonale pamiętam, mam brata dwa lata starszego od siebie, czyli jak ja miałam tam prawie cztery, to on sześć, siódmy rok. Jak bomby rozbijały się nad naszymi głowami, jak olbrzymie leje powstawały obok domu, dzieci przerażone z piskiem tuliły się do ludzi, do swoich bliskich. No, ale trzeba było to przeżyć. Brat latał, pamiętam, jest tutaj taki artykuł, wywiad był bardzo dokładny w „Naszym Dzienniku", tam swego czasu. Jest to opisane, jak on biegał i krzyczał: „Dajcie mi buty, bo ja sobie nogi pokaleczę", od szkła, które było rozrywane. Cóż więcej? Może już do 1989 roku od razu przejdę, bo czas okupacji, to wiemy, jak był. Już w październiku na Podlasiu, tam, gdzie mieszkaliśmy, był bardzo silny ruch oporu AK. Tam „Grot" Rowecki przyjeżdżał. Tam były doskonałe warunki, żeby tę działalność uprawiać, bo były fantastyczne lasy. Ludność była bardzo patriotyczna. Taka propiłsudczykowska i wiedzieli, że... Jeszcze jeden bardzo ciekawy moment. W 1947 roku, kiedy były wybory, były tak zwane, trzeba było powiedzieć trzy razy „tak". Więc oczywiście one były sfałszowane, bo to było za czasów Mikołajczyka i ludzie z tego terenu przychodzili do mojej mamy, to ja już jako dziecko pamiętam, i mówili: „Pani komendantowo" do mamy, „Jak mąż wróci, to proszę powiedzieć, że wybory zostały sfałszowane". Ale to było ciekawe bardzo. Więc jak była ludność nastawiona też do nas opiekuńczo, jako do rodziny pozostawionej przez komendanta i jakim on był człowiekiem dla ludzi, kiedy ludzie taki mieli stosunek do nas. Przeżyliśmy te kilka lat w Sarnakach, później przyszła szkoła, szkoła podstawowa w Sarnakach, później trzeba było chodzić do gimnazjum w Siedlcach. Było ciężko, bo przecież mama sama była, troje nas było. Ale jakoś przeżyliśmy te czasy. Ruch oporu. Ruch oporu był tak silny, że tam był taki majątek państwa Przesmyckich w Sarnakach i przychodziła do nas właścicielka czy kuzynka z tego dworu. Do nas jako do dzieci, przynosiła nam rożne książeczki dziecinne. Raz przyniosła bardzo kolorową śliczną książeczkę, a ja od razu, jako niegrzeczne dziecko, wyrwałam. Nie wyrwałam, ale wzięłam pierwsza do ręki, zanim mama wzięła tę książeczkę. Mama mi ją oczywiście odebrała, skarciła odpowiednio, bo w książeczce tej dla mnie przeznaczonej była bibuła, tak zwana. Wiecie państwo, co to jest, była bibuła. Przepraszam, że tak pytam, jak... Tajne takie szyfry po prostu. I dopiero wtedy mogłam się bawić książeczką, jak to wszystko było już w odpowiednich rękach. Mama była zaangażowana bardzo i już w październiku był tam zawiązany tak zwany Związek Walki Zbrojnej. To było pierwsze przed Armią Krajową, taka organizacja. Mama już w październiku, to proszę sobie tylko wyobrazić, wrzesień, ojciec odszedł, październik, mama już należy do tej organizacji, a w lutym się rodzi moja siostra. Więc mamę w pewnym momencie tam bardzo bliscy ludzie uprzedzili, żeby wycofała się z tej działalności, z uwagi na to, że Niemcy bardzo obserwowali ludzi i niestety wywozili gdzieś, gdzie ludzie nie powracali. Więc prawdopodobnie likwidowali. Mama, mając nas trójkę, powiedziała swojemu komendantowi, że: "Niestety ja z uwagi na dzieci swoje i tak dalej, ja rezygnuję, działajcie sami. - O nie, moja miła. Jak raz podpisałaś już cyrograf i dostałaś legitymację...", a legitymacja to podobno była jakaś mała bibułka gdzieś schowana. To była prowincja, proszę państwa, i mama miała możliwości hodowlę drobiu, tam coś jeszcze może, więc były takie różne gospodarcze zakamarki. Hodowlę drobiu, dlaczego, żeby nas wyżywić, bo przecież nie było żywiciela rodziny. Skąd, jak się utrzymać? To powiedział, że nie. Absolutnie nie bierze od mamy tej rezygnacji, tylko zamienia funkcję. „Będziesz po prostu punktem kontaktowym dla nas. Będziemy przynosili bibułę tutaj i ktoś inny będzie, jakiś kurier odbierał". I tak się toczyło dalej życie. Pamiętam również, to było małe miasteczko, gdzie było bardzo dużo ludzi pochodzenia żydowskiego. Zresztą cała Polska, Podlasie, w ogóle wschód Polski głównie, nie wiem czy w całej Polsce, było bardzo dużo ludzi tej narodowości i myśmy z nimi mieszkali tak po sąsiedzku. Znaliśmy się. To to nie było nic takiego dziwnego, że ludzie takiej narodowości mieszkają. Nawet i przyjaciółmi byliśmy niejednokrotnie. Po imieniu mówiliśmy sobie i tak dalej. I teraz 1989 rok. Tutaj wrócę.

Niektóre osoby ze środowiska, znaleźliśmy się tutaj później już, brat był na studiach, my już później praca i tak dalej, w Warszawie znaleźliśmy się. Zresztą mój ojciec urodził się w Warszawie. Myśmy stąd pochodzili, więc mama zawsze chciała, żebyśmy wreszcie wrócili do tych korzeni. Nawet z uwagi na edukację naszą.

Głos: A który to był rok, jak powróciliście państwo tutaj do Warszawy?

Irena Erchard: Do Warszawy? No, już lata 50. Już lata 50., bo jeszcze były wielkie trudności z zakwaterowaniem, z mieszkaniem. Przecież to nie było tak łatwo.

Głos: I od momentu, kiedy ojciec został aresztowany, nie mieliście oprócz tej kartki pocztowej żadnych wieści od nich? Irena Erchard : Nie, żadnej. Absolutnie żadnej. Absolutnie żadnej.

Głos: A po zakończeniu wojny staraliście się już znaleźć jakieś informacje?

Irena Erchard: Tak. Mama pisała do Polonii amerykańskiej, do szwajcarskiego Czerwonego Krzyża. Później do polskiego, tu w Warszawie. Wszędzie było: „Taki nie figuruje na liście". Nie ma takiego. Ale proszę państwa, to jest może najbardziej pikantna sprawa, przepraszam, że tak mówię, bo ojciec mojego męża również został zamordowany w zbrodni katyńskiej, więc my jesteśmy w tej chwili tacy dwoje, że z każdej strony walczymy o tę prawdę. Do tej pory. Uczestniczymy w różnych takich spotkaniach, dyskusjach. Wielką, prężną osobą na terenie Warszawy, nie wiem, czy spotkaliście się państwo z takim nazwiskiem. Uprawia to upamiętnienie i dobrą sprawę robi dla sprawy katyńskiej, pan Stefan Melak. On ma przydzieloną taką dziuplę małą. Ja to mówię publicznie, bo tam można przychodzić w każdy piątek, dzisiaj też, od 17:00. Wieża kościoła przy świętej Annie. I tam każdy zainteresowany może wejść. Bardzo ciężko się wchodzi. Jak on dzwoni i zaprasza, że: „Przyjdź", ja mówię: „To windę uruchom". Bo tam jest winda, ale nią się nie jeździ, tylko trzeba chodzić schodami. To on robi bardzo dobrą sprawę właśnie w tej dziedzinie. Natomiast w 1989 roku pani Jola Klimowicz, żona redaktora, który już nie żyje, właśnie pan Stefan Melak, pod grobem Nieznanego Żołnierza, po jakiejś uroczystości wojskowej zaproponowali, że zorganizują stowarzyszenie „Rodzina Katyńska". I tak się stało. Ja ze swoją rodziną, ja, mój mąż, mój brat, moja siostra mamy legitymację tej rodziny katyńskiej. Ja ich po prostu ze sobą nie wzięłam, bo nie o wszystkim mogłam pamiętać w domu. Mieścimy się w numerach od 1 do 5, 6, 7. Mamy takie 2, 3, 4, 5. Czyli jedne z pierwszych. Wtedy prężną osobą, też działającą razem z nami, był pan, o, przepraszam, ksiądz Niedzielak, zamordowany skrycie, nie wiadomo przez kogo do dzisiaj, ale wiemy przez kogo i tam dostaliśmy u niego tak zwane podziemie, gdzie mieliśmy swój punkt zborny, spotkania odbywały się. Zebrania, spotkania. Tam urządziliśmy izbę pamięci. Tam są zdjęcia pomordowanych.

Głos: Czyli w którym roku to się zaczęły te spotkania?

Irena Erchard: 1989 rok. Niestety jak już transformacja się zaczęła. Jak zaczęto, można było mówić o Katyniu, bo jak to wszystko pękło, to pierwsze hasło to był Katyń. Mój brat, przepraszam, historykiem, w gimnazjum uczył, w liceum historii, to on o Katyniu młodzieży mówił, ale też były takie momenty, że ktoś, jak do domu wracał, to pytał ojca, na przykład tam taki syn sędziego, tata tam właśnie coś o Katyniu. „- No, a skąd o tym wiesz? - No, nasz pan

historyk o tym mówił". To on mu niewiele właściwie chyba mógł powiedzieć, ale później w jakichś takich zebraniach szkolnych przychodzili do brata i dziękowali bratu. Niektóre osoby. Że tak otwarcie i mógł powiedzieć o tych sprawach historycznych zakamuflowanych i takich tajnych. Odsyłał brat, odsyłał do archiwów, żeby tam zajrzeli. „Nie, tam nie można się niczego dowiedzieć", mówili. Zdobyliśmy jedną jedyną książkę wydaną w Londynie, właśnie o zamordowanych w Katyniu. Ale słuchajcie państwo, Katyń to jest Katyń, bo wiemy, że w 1943 roku Katyń odkryli Niemcy. I w 1943 roku w prasie niemieckiej pokazały się już artykuły i nazwiska, bo zrobili częściową ekshumację. Nie sposób było zrobić całej, ale tam jakąś część i nazwiska osób ekshumowanych. I to była taka podstawa do dalszych w ogóle badań i rozszerzania tego wszystkiego. Moja mama, która zmarła w 1977 roku, nigdy się nie doczekała tej prawdy, ale nam powiedziała, w czasie okupacji dowiedzieliśmy się wszyscy, bo to ja, pamiętam, jako małe dziecko słuchałam Głosu Ameryki, a nie wolno było. Bo w Ameryce toczył się proces już, ale to wszystko też jakoś upadło. Nie wiem. Polska nie ma szczęścia do tych wszystkich swoich przyjaciół, żeby coś dla Polski wywalczyli. To później był problem, gdzie się znajduje obóz Ostaszków, gdzie został zlikwidowany, gdzie ten ojciec jest. Podobno poprzez zdjęcia satelitarne czy tam lotnicze, został odkryty cmentarz w Miednoje. I stąd dowiedzieliśmy się, że tam z Ostaszkowa byli wszyscy zlikwidowani, zamordowani. A to, że byli rozstrzeliwani po 200 osób każdej nocy, to nie wiem, czy państwo wiecie z prasy i już z takich artykułów, bo po 250 początkowo rozstrzeliwali, to później podobno prosił jeden drugiego, że: „Słuchajcie, trochę mniej, bo to jest za dużo pracy. Za dużo krwi, żeby to sprzątnąć". A to wszystko musiało być zakamuflowane. Wywozili ich tam jakimś drugim wyjściem, na ciężarowe samochody wrzucali i do dołów śmierci wrzucali, wyjeżdżali kilkadziesiąt, ja mówię już w tej chwili o Ostaszkowie i Miednoje, o swoim ojcu. Zresztą tak samo było i w Katyniu, bo przecież świadkowie byli, którzy opisywali dokładnie to wszystko. Słuchajcie, to było straszne przeżycie. Jak żeśmy się dowiedzieli, gdzie to... A, i jeszcze jedno. Pan Jędrzej Tucholski, który jest pracownikiem chyba IPN-u tutaj na Towarowej, on bardzo dużą pracę zrobił, bo właśnie w 1989 roku w czasopiśmie, nie wiem, czy to był tygodnik, dziennik, już nie pamiętam, „Zorza", coś takiego było, napisał, czy w „Ekspresie Wieczornym", ale żeby do „Zorzy" przysyłały rodziny swoich utraconych, żeby się nie bali niczego. W 1989 roku. Apel był do ludzi po prostu. I ja pamiętam, napisałam wtedy o ojcu swoim i o swoim teściu to, co wiedziałam. I to się ukazało, bo pan Tucholski wydał książkę, tak zwany „Mord w Katyniu". I tam właśnie figurują te osoby. Wszystkie zgłoszone wtedy dla tych celów, na jego apel. A "Rodzina Katyńska" funkcjonowała na Powązkowskiej. Nie można powiedzieć. Tam jest ciekawa sprawa, bo tam jest zrobiona Izba Pamięci. Była taka prężna, też córka zamordowanego w Katyniu, pan Witomiła Wołk-Jezierska, plastyczka, która zaprojektowała, jak ma wyglądać ta izba pamięci. Pamiętam, mój mąż jeździł jako Charkowiec, bo on w Charkowie ojca ma zamordowanego, do pana, który miał ojca zamordowanego w Ostaszkowie. To była taka współpraca rodzin, który mieszkał w Konstancinie, a miał możliwości obróbki drewna, więc tam jeździł, a mój mąż projektował tam tę... Aha, w ogóle zaprojektowana przez plastyczkę, ale później, żeby zrobić te wszystkie drewniane sprawy, to trzeba było dosłownie jeździć i piłować, i obrabiać to drzewo. I później... A, i sztandar ona jeszcze zaprojektowała, który do tej pory tam właśnie "Rodzina Katyńska" ma i we wszystkich takich zbiorowiskach, jak są uroczystości, to on funkcjonuje, ten sztandar. U świętego Boromeusza na Powązkach ksiądz pozwolił, żeby też upamiętniać tabliczkami, więc kościół naokoło jest tabliczkami okolony. I tam pani, która też ojca w Charkowie ma zamordowanego, nie żyje. Dwa tygodnie byłam na jej pogrzebie. Zajęła się tym, bo to była ciężka praca, współpraca z kamieniarzem, z treścią tych tabliczek, bo to trzeba było tam odpowiednio to wszystko zorganizować. Tam setki jest tych tabliczek i ona to wszystko przez X lat prowadziła.

Głos: Czyli ona zaprojektowała te... To były tablice, jakie?
Irena Erchard : Może nie tyle projektowała, bo rodzina dawała projekt, jaką treść chce mieć. Ale ona to uzgadniała z kamieniarzem, kamieniarz się wypowiadał, czy to się mieści, czy za dużo, czy za mało słów, czy liter, bo tam już nie pamiętam, jak to było liczone. I ona umieszczała w odpowiednim miejscu to. Tam jest taki misz-masz, tam nie jest obozami, nie jest alfabetycznie, tylko jest, kto następny tabliczkę zamawiał, to następne wolne miejsce było zajmowane.

Głos: Czyli to były takie tablice upamiętniające te osoby, które...

Irena Erchard: Upamiętniające, takie małe epitafia, tak. Tak, tak. Nieżyjący pan Ziembiński też... Zresztą to ja już tak nie byłam przy tym blisko, ale wiem z opisów, że zorganizował tę, na ścianie kościoła świętego Boromeusza, tam jest czaszka w takiej urnie, w takiej... Jak ona się nazywa? W takim pomieszczeniu na klucz zamykanym. I cały ten wystrój tej ściany, gdzie są te krzyże wznoszące się do nieba, tak jakby oni szli. To było już przez pana Ziembińskiego robione. A my funkcjonowaliśmy w tej Rodzinie Katyńskiej. Dużo było literatury do sprzedania. Po prostu zajmowaliśmy się administracją, pomagaliśmy. Właśnie te książki, które były, bo tam jak książka jakaś wyszła o tematyce katyńskiej, to na ogół opierała się właśnie o to stowarzyszenie. Tam przynosili i trzeba było się tym wszystkim zająć. Pamiętam przez 5 lat jak przeszłam na wcześniejszą emeryturę, jako wolontariusz oczywiście, przecież to żadna tam, broń Boże, gratyfikacja. Chodziliśmy, jedna z pań, też córka ostaszkowca, ja już tak nazywam w skrócie, do tej pory, od 1991 roku do tej pory siedzi tam na tym stołeczku, pilnuje i sprzedaje tę literaturę, jeśli ktoś przyjdzie i prosi.

Głos: Dzisiaj ile członków liczy stowarzyszenie?

Irena Erchard: Dzisiaj nie wiem, bo ja w pewnym momencie... Słuchajcie państwo, tak jak w każdej partii, w każdym jakimś takim gnieździe były różne takie rozdźwięki. Ja w pewnym momencie powiedziałam, że się już tyle napracowałam, nadźwigałam się na swoich barkach książek, że ja już to oddaję w inne ręce i po prostu wycofałam się w pewnym momencie. Ale z wielką sympatią jestem tam do tej organizacji i niejednokrotnie uczestniczę w jakichś uroczystościach.

Głos: W którym roku dowiedziała się pani, co się stało z ojcem?

Irena Erchard: Jak Jelcyn oddał dokumenty Polsce. Jak Pichoja przywiózł Wałęsie tutaj, do Warszawy, dokumenty archiwalne. To myśmy nocami, wieczorami siedzieliśmy i patrzyliśmy nazwiska, oczywiście po rosyjsku były wszystkie, ale szukaliśmy ojców najpierw. To na przykład charakterystyczne moja siostra, która nigdy ojca nie widziała, to ona niejednokrotnie mówiła, że ja w ogóle nie rozumiem, co to jest ojciec, bo ja go nigdy nie dotknęłam, nigdy... No, na zdjęciu widziała, ale to nie jest jeszcze ta więź taka, jaka jest naturalna. Dopiero jak zobaczyła na liście rosyjskiej nazwisko ojca, dopiero powiedziała: „Boże, to ja mam ojca". Czy tam: „Ja miałam ojca". Słuchajcie państwo, to są przeżycia... Przepraszam, to trzeba przeżyć, żeby zrozumieć, ale oby nikt tego nie przeżywał. I tutaj autorka napisała na dole, że: "Wykorzystałam do tego artykułu wspomnienia Ireny Izy Erchard. To moje. Krystyny Krzyszkowiak, siostry i Ryszarda Adamczyka, brata. Każdą wolną chwilę nam poświęcał. Zawarte w pracy zbiorowej pod tytułem «Mój ojciec, część II"», wydanej przez Instytut Katyński w Polsce. To jest przez Instytut Katyński w Krakowie. Wydawnictwo Zakonu Pijarów w 1995 roku. To jest to o ojcu. A jeszcze taka wstawka o tym ruchu oporu na terenie

Sarnak i Podlasia. Słuchajcie państwo, co myśmy tam przeżywali. Tam w 1941 roku, nie wiem, czy państwo wiecie z historii, gdzieś to chyba jest opisane, ja tego nie czytałam, ale przeżyłam. Tam był napad, wtedy, kiedy 17 września wkroczyli na terenach wschodnich, to oni doszli aż daleko w głąb Polski. I te tereny, gdzie myśmy mieszkali, to były nie tyle zajęte, ile oni się przewinęli przez te tereny. Ludzie uciekali do okopów. Moja siostra miała kilka miesięcy wtedy, to mama jej wymościła taką wanienkę, które kiedyś były tylko blaszane, bo nie było plastikowych, kolorowych pięknych i ona była wnoszona w tej wanience tam do dołu, a jak było słonko i nie było bombardowania, to wynoszona na zewnątrz. A my jako dzieci już starsze, to lataliśmy. Dla nas to wojna, dla chłopców to czasami była uciecha. Tam były momenty przechwycenia broni niemieckiej nawet tak, ale mój brat był przesłuchiwany, ale nie brał udziału, ale był namawiany przez starszych i było tak, że ci starsi niestety na Pawiaku zginęli. Słuchajcie, takie były momenty. Są teraz tylko tablice upamiętniające tam. I ich na szkole... Mój ojciec ma tablicę i jego koledzy na terenie kościoła w dzwonnicy, bo tam takie miejsce było, to żeśmy tam ufundowali mu tablicę, a jeszcze inna sprawa to nad Sarnakami rozrywały się bomby V1, V2. A to była broń wymyślona przez Niemców, żeby zniszczyć Anglię. To było przeciwko Anglii. I to było, produkcja tego była gdzieś na Rzeszowszczyźnie w Bliznem, takiej miejscowości, i stamtąd były najpierw próbne wystrzeliwane tam na kilkaset, 200 tam ileś kilometrów. I one miały za zadanie rozerwać się, i one się rozrywały. Jaka to była uciecha dla dzieci. Bo rozrywały się, bardzo kolorowe kabelki leciały z góry, więc myśmy to najpierw zbierali, ale to nie wolno było zbierać. Niemcy zaraz jeździli i jeśli by ktoś dorosły to zrobił, to może byłby nawet aresztowany, a dzieci to przepędzali po prostu. Zresztą to są takie fragmenty filmów na ten temat już. I jedna z tych bomb wpadła, nie rozerwała się, wpadła w szuwary w grzęzawisko Bugu. Tam niedaleko Bug przepływa. I właśnie Armia Krajowa, ci wspaniali partyzanci, których domem był las, oni pod osłoną nocy, oczywiście ze zorganizowanym jakimś takim ciężkim sprzętem, to konie pomagały bo to przecież w tamtych terenach nie było czym innym, wyciągnęli z Bugu tę broń, która nie wybuchła, gdzieś ją tam przewieźli dość daleko, znowu zakamuflowali, ale jak wyciągali tę broń, to zorganizowali kilka takich zaczepek z Niemcami. Bitew, ale to kilkanaście kilometrów dalej. Po to, żeby Niemców z tego terenu tam przenieść po prostu. Oni zajęli się tam tymi sprawami, a tutaj oni załatwili swoją sprawę. Proszę państwa, jedna z bomb miała cały żyroskop i wszystko w sobie, co tylko ta bomba mogła mieć. I to zostało przewiezione pod osłoną, znowu, nocy, furą tam, bo tam przecież tereny rolnicze, pod osłoną ziemniaków i tam różnych, prawda, płodów rolnych, najpierw do Siedlec, później do Warszawy na politechnikę, do profesora Groszkowskiego, dobrze mówię. I w ten... Aha, i stąd jeszcze, jak już tutaj zostało wszystko zbadane w Warszawie przez ten Instytut Fizyki i profesora Groszkowskiego, to zostało to, znowu zbudowany był most, jakiś powietrzny, nie wiem już dokładnie, nie znam bliżej szczegółów i to wszystko zostało przetransportowane samolotem do Anglii. Jest pomnik tego V1, V2 w Sarnakach na rynku. To jest 150 kilometrów stąd. Można pojechać, naprawdę zrobić sobie fantastyczną wycieczkę i zobaczyć, gdzie jest napisane wyraźnie: „Oni ocalili Londyn". Na tym pomniku. Bo przecież w przeciwnym razie, jakby to wszytko się Niemcom udało, to tam właśnie nie byłoby dobrze po tamtej stronie, tak jak ja mówię. W 1995 roku ten pomnik był odsłonięty w Sarnakach. Tutaj mam przed sobą pomnik, który stoi przy Politechnice w Warszawie, na cześć zbadania tej rakiety V1, V2. „Siła nauki polskiej i odwaga społeczeństwa w akcji Armii Krajowej w latach 1942-1944, wykryto tajemnice V1, V2, przyczyniające się do zwycięstwa w drugiej wojnie światowej". Jeszcze wrócę do Miednoje i Ostaszkowa. Jak dowiedzieliśmy się, gdzie tata jest już pogrzebany... Ja nigdy nie mówię, nie nazywam, że tata został pogrzebany, wrzucony do dołu śmierci. Wrzucony. Bo przecież oni nie grzebali pojedynczo, tylko tam sterty ciał. Proszę państwa, ciekawe zdjęcie mam przed sobą, gdzie jest na zdjęciu mój syn 16-letni, moja siostrzenica i tam jeszcze jakiś kuzynek młody, na Powązkach w Warsza-

wie przyjęte takie miejsce zostało, tak zwana Dolinka Katyńska. I tam paliło się znicze, jeszcze w latach tych niedozwolonych. I stawiało się przy kamieniu, kładło się kartkę „Katyń 1940". I tu jest taki dokument na to. A dalej będę mówiła o Miednoje. W pewnym momencie, jak już zaczęto mówić oficjalnie o zbrodni katyńskiej, to była tak zwana... Ekshumacje zaczęły się i była tak zwana prokuratorska ekshumacja w Miednoje. Dokopali się tam do szczątków, zbadali, że to są Polacy, zbadali, że to jest policja. Charakterystyczne, proszę państwa, jak kopali ziemię, to ziemia była na pewnej głębokości granatowa. Od czego? Domyślamy się. Od granatowych mundurów po prostu, bo oni nosili przed wojną, policja nosiła granatowe mundury. To było po... Pamiętam, wtedy był bardzo uroczysty pogrzeb. Mój brat, on mieszka za granicą w tej chwili, przyjechał na teren Polski, ja go zawiadomiłam, „- Jak chcesz być na pogrzebie ojca, natychmiast przyjeżdżaj do Warszawy. - Ale dlaczego tak szybko? - Tak szybko, bo musisz wizę rosyjską sobie wyrobić". I byliśmy wszyscy na pogrzebie w Miednoje. Obieraliśmy sobie na terenie tego lasu, bo to był las, jakiś krzyż, bo tam ta ekipa ekshumacyjna zostawiła mnóstwo krzyży. I jak rodziny pojechały, jeździły tam, to obierały sobie jakiś krzyż i tabliczkę ze zdjęciem, i z nazwiskiem swego ojca wieszały. I właśnie takie to między innym też jest. Są jeszcze zdjęcia jak... O, właśnie tutaj, jak Kozielsk, Starobielsk, jak w kartoteki poukładaliśmy, pozakładaliśmy kartoteki z tych rosyjskich list, i tutaj właśnie szukamy w tych kartotekach... To ja jestem akurat. Grzebiemy i szukamy po kolei, tam alfabetycznie, układamy ich alfabetycznie, ewentualnie czegoś innego szukamy. To jest właśnie mój tata. Miał 37 lat, jak został rozstrzelany. A to jest też tata, ja siedzę na kolanach, brat obok i mama. Znaczy taka rodzina była w momencie, jak ojciec się z nami rozstawał. Jeszcze muszę powiedzieć o jednym ciekawym momencie na terenie Podlasia, gdzie też ta sama autorka, która z nami wywiad przeprowadzała, też przeprowadziła tam z kimś ze świadków wywiad, gdzie Armia Krajowa przechwyciła w pewnym momencie na terenie właśnie Podlasia, blisko Białej Podlaskiej, siedmiu amerykańskich lotników, którzy lecieli samolotem, tam kilkunastu ich było. I Niemcy ich zestrzelili. Trzech zginęło podobno, a siedmiu się uratowało, bo na spadochronach spadali. I akowcy z lasu widzieli to. Oczywiście od razu ich zagarnęli do siebie. Oni początkowo bardzo się bali, bo nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Wiecie, to takie czasy były, że tam obce języki nie wchodziły w grę. To taki akowiec mówi do niego, żeby szybko, to on nie rozumie, o co chodzi. To on mówi: „Raus!" do niego, to ten się zląkł, że to chyba Niemiec do niego mówi, więc nie wiedział, co ma robić. To po prostu szturchańcem go w las, żeby się jak najszybciej schować, bo Niemcy przecież ciągle latali i górą, i dołem, i szukali. Niemcy wiedzieli, że oni wylądowali gdzieś na spadochronach, ale nie znaleźli ich. I ci akowcy w lesie ich przetrzymywali tam przez pewien okres czasu. Później, tu jest artykuł na ten temat, bardzo dokładnie. Później oddali ich w ręce Rosjan, bo się Rosjanie znaleźli, ale dowódca tego oddziału akowskiego, „Zenon" tak zwany, Wyrzykowski nazwisko, ale Zenon to pseudonim, który jest, nie żyje już dawno, pochowany na Powązkach, za swoje zasługi, w Alei Zasłużonych. Aha, oddał ich Rosjanom za pokwitowaniem. Powiedzieli, jak mi pokwitujecie ich, to wam oddam ich. I zostawił oryginał sobie, a kopię im oddał, i oni ocaleli. I słuchajcie, jest tak napisane, ja muszę to przeczytać, bo to jest... „Nigdy o nich nie zapomnimy". Taki tytuł. „21 czerwca, 1944 roku do oddziału porucznika „Zenona" dołączyło siedmiu lotników amerykańskich. Byli to piloci z fortecy B17, zestrzelonej przez Niemców stacjonujących na lotnisku w Krzewicy. Kiedy na spokojnym bezchmurnym niebie żołnierze zaobserwowali powietrzną walkę, a następnie dziesięć spadochronów z żołnierzami ratującymi się z trafionego przez Niemców samolotu, rozpoczęli wyścig z czasem. Wiedzieli, że jeśli nie zdążą przejąć spadochroniarzy, uczynią to Niemcy. Trzech rannych znalazło się w niewoli niemieckiej. Pozostali trafili do oddziału partyzanckiego. W ciągu najbliższych tygodni Amerykanie ze zdumieniem odkrywali, jak dobrze zorganizowana i wyszkolona była Armia Krajowa". Proszę państwa, to jest ważne bardzo. „Prawdziwe wojsko tuż pod nosem Niemców. Mieli

możność przekonać się o tym podczas walk, jakie stoczył w tym czasie oddział Zenona z oddziałami niemieckimi. W lipcu, 1944 roku trwały zacięte boje między Wermachtem a Armią Czerwoną", oddział partyzancki. To już... Ale oni tutaj... „Gdybyśmy pracowali całe swoje życie dla Polaków bez względu na ryzyko czy niebezpieczeństwo z tym związane, nigdy nie będziemy w stanie odwdzięczyć się za to, co dla nas zrobili. Po przybyciu do Wielkiej Brytanii amerykańscy lotnicy złożyli oświadczenie następującej treści: »Skoro Polacy i polscy partyzanci, nie zważając na grożącą im w każdej chwili śmierć, chronili nas w ciężkich i trudnych sytuacjach, skoro to właśnie im zawdzięczamy swoje życie, nigdy o nich nie zapomnimy i zawsze gotowi będziemy do tego samego, by im się odwdzięczyć za to, co dla nas uczynili«„. Słuchajcie, to jest piękne, wydaje mi się. Więc kochani moi, to tyle może o tych przeżyciach. Już mówiłam o tym, jak się bomby rozpadały i zbieraliśmy jako dzieci. Dla dzieci to była uciecha. Dzieci, niestety, dziecko jest tylko dzieckiem. Nie rozumieliśmy wielu spraw.

Głos: A jeszcze w czasie wojny, jak sobie radziła pani tam z mamą, mama pracowała też tak...

Irena Erchard: A, pracowała. Proszę pana, mama starała się o pracę i w pewnym momencie dostała pracę na terenie. To była wielka, mała dziura. To tam nie było tak bardzo dużo pracy. Ale tam jakoś sobie ludzie radzili. To, proszę państwa, odsunięto w pewnym momencie mamusię od tej pracy, a powiedziano, że jest tam, po nazwisku nazwano, a mama później mówiła: „No, tak, bo on jest komunistą, to on musi pierwszy pracować". Tak było, słuchajcie, w tych czasach. A jeszcze powiem, że na terenie Sarnak jedyną taką fabryką i dużym takim ośrodkiem pracy to był browar produkujący piwo po prostu. I właściciel browaru, pan Józef Kisiel, który też należał do silnego kierownictwa AK, był wielkim patriotą, zwabiał do siebie Niemców na piwo, a oni wszystko mu gadali, słuchajcie. Jakie mają plany, kiedy bomba będzie wystrzelona. I on to wszystko notował, i później oczywiście wszyscy już akowcy wiedzieli jak się szykować, kiedy i gdzie. Takie były momenty też. I mama w pewnym momencie, tam, w tym browarze też dostała pracę, tam później już. To pamiętam, raz z siostrą to byłyśmy na koloniach z tego tytułu, ale to było raz. Jest pewna grupa ludzi, która już, nawet dzisiaj z mężem wypełniałam pewne papiery, która się scaliła, zmobilizowała i na apel pana profesora Cezarego Kamińskiego z Krakowa, który napisał artykuł w Rzeczpospolitej, tam swego czasu, bo to było już dość dawno. Może rok, może więcej. Że Polska... Rodziny, nie Polska, rodziny. Nie Polska. To jest wielka różnica, słuchajcie państwo. Może skarżyć do Strasburga o śmierć bliskich. I myśmy z tego skorzystali. Bardzo dużo nas pracy kosztowało nawiązać z nim kontakt, zanim nam Rzeczpospolita użyczyła adresu i żeby z nim kontakt nawiązać. Mamy z nim kontakt i on nas prowadzi, i jest już wszystko na dobrej drodze. Korespondujemy z prokuraturą wojenną Rosji. Oni nam... My do nich piszemy za zwrotnym pokwitowaniem odbioru. Takie na poczcie się czerwone wypełnia przekazy i ja już mam kilka ich. I oni odsyłają nam, że korespondencja doszła pod odpowiedni adres. O to chodzi tylko. Zwrotne poświadczenie odbioru. I podobno jest już... Zresztą była konferencja prasowa nie tak dawno tam w Muzeum Niepodległości. Bo to już były tak... Przecież dziennikarzy mnóstwo było. To było już tak oficjalnie i prasa podawała, że prawnicy polscy, kilku prawników polskich zobowiązało się, że tę sprawę poprowadzą w Strasburgu bezpłatnie, jako pro publico bono po prostu.

Głos: A czego domagacie się państwo?

Irena Erchard: Czego domagamy się? Najbardziej, jak ktoś pyta: „A ile dostaniecie za ojca?". Nie. To jest niestosow-

ne pytanie. Nie o pieniądze nam chodzi. Że to było ludobójstwo. Nam o to chodzi. Bo Rosjanie nie chcą się do tego przyznać. Oni nie chcą tego uznać, a nam chodzi o to, że to było ludobójstwo. I oczywiście trzeba tam na terenie Rosji też prawników wynająć. Są takie pewne skomplikowane sprawy, ale wszystko jest na dobrej drodze. Ja mówię o tym otwarcie, bo była konferencja prasowa tam swego czasu, na wiosnę w Muzeum Niepodległości. Tak że mamy haczyk, mamy bat.
Anna Pietraszek: A można jeszcze prosić, bo tak widzę, że wszyscy są onieśmieleni, pod wrażeniem pani wypowiedzi i otwartości, za co bardzo, bardzo dziękuję w imieniu studentów dzielnych. Pytanie jakie trudności przyszło pokonywać przez 50 lat komuny, komuś, kto był w dwójnasób naznaczony piętnem katyńskim?

Irena Erchard: Po prostu nie przyznawaliśmy się do tego. Żyliśmy obok, musieliśmy żyć, pracować, uczyć się. Ze studiami to zawsze był kłopot. Jeżeli ktoś się przyznał, to już był na pewno odrzucony. Ale byli tacy, którzy się nie przyznawali i jakoś to przechodziło.
Anna Pietraszek: A czy spotkała się pani z takimi konkretnymi osobami w tym środowisku rodzin katyńskich, z osobami, które na przykład poniosły jakieś specjalne uciążliwości, zostały niedopuszczone do awansu, straciły pracę czy nie dostały się...

Irena Erchard: Pierwsze to, co ja powiedziałam, że mojej mamie komunista zabrał pracę. To już na sobie mogę powiedzieć. A tak o ludziach obcych specjalnie nawet nie wiem, bo ludzie nie mówili, nie przyznawali się do tego.
Anna Pietraszek: A jak to jest dla dziecka, dla małego dziecka, żeby...

Irena Erchard: To jest straszne. Pani Aniu, to jest straszne. Jedno zdanie mówi za tym. „Dwa lata młodsza - to o mnie tu - oboje całe życie, zapamiętali chwilę rozstania, jakiś nieokreślony lęk kazał im uczepić się ojcowskich nóg i wołać z dziecięcą rozpaczą «Tatusiu kochany, nie odjeżdżaj!» Ojciec brał ich kolejno w ramiona, długo przytulał, całował. Potem, kryjąc wzruszenie, zdjął z palca i oddał żonie obrączkę ślubną. Zamknęła ją w ściśniętej do bólu dłoni. Z oczu popłynęły jej łzy. W nieswoim domu w czas wojny zostawała sama z dwójką dzieci i z tym trzecim", o czym tam wspominałam, które... „Michał sięgnął jeszcze do kieszeni, usłyszeli przytłumiony dźwięk przesypywanych ręką naboi. Spośród nich wydobył pieniądze i oddał żonie. Jeszcze jeden długi uścisk i pocałunek. Potem wyszedł pośpiesznie z domu. Patrzyli zanim długo, dopóki nie zniknął za zabudowaniami". Takie było rozstanie ze łzami w oczach. Ze spazmami małych dzieci. Ja pamiętam doskonale to pożegnanie i... Dzieci przeżywają. To całe życie się pamięta.
Anna Pietraszek: A czy to wróciło w jakiś sposób w stanie wojennym?

Irena Erchard: No, na pewno.
Anna Pietraszek: Kiedy pojawiły się czołgi na ulicach, kiedy pojawiły się [komuna? niezrozumiałe, 00:44:01]

Irena Erchard: Oczywiście. Na pewno w stanie wojennym. Był taki moment, była rocznica teraz niedawno obchodzona w kościele świętego Krzyża, tam na dole była uroczystość. Pan Stefan Melak, tam składaliśmy wieńce pod tablicą. I byli dziennikarze, i były wywiady. Więc pamiętam też taki wywiad, powiedziałam do jednej, tam do Trójki chyba czy gdzieś, mój syn, już w stanie wojennym, 18-letni, wybierał się, bo jeśli chodzi o paszporty, słuchajcie, to ja na przykład byłam zawsze odrzucana. Zawsze. Ale mój syn tam razu pewnego dostał paszport. O dziwo nie wie-

dzieliśmy dlaczego. Jak to się stało, że on dostał paszport. I to był grudzień już, jak stan wojenny ogłosili. On miał ten paszport w kieszeni. Nosił go, bo miał się wybrać do mojego brata za granicę. Wyszedł do miasta w Warszawie. Tak cicho, pusto, groźnie, czołgi. I szybko przybiegł do domu. Dosłownie przybiegł. „- Co się stało? - Ja boję się po ulicy chodzić, bo jakby mnie wylegitymowali...", bo przecież legitymowali wtedy chodzących takich sobie swobodnie ludzi, a jeszcze młody człowiek, a ja mam paszport, nie mam dowodu, to ja nie wiem, co by ze mną zrobili. Na pewno by mnie aresztowali, czy tam jakieś inne represje. Takie właśnie były przeżycia i o tym mówiłam też. A stanie w kolejce po ser żółty na Nowym Świecie. Był taki sklep serowarski, jeden jedyny w Warszawie duży, gdzie można było coś kupić. Stanęliśmy oboje z synem. Niestety, dwie godziny, trzy godziny. Wiadomość, że w magazynie nie ma już sera. Później się okazało i ktoś inny podpowiada, bo to poszło do magazynów wojskowych. Spodziewają się wszystkiego, więc dla ludzi nie ma. Takie były różne przeżycia.

Głos: Przepraszam, ja chciałem zapytać, właśnie cofając się jeszcze do czasów wojny i rozpoczęcia wojny. Jak ta wojna wygląda właśnie oczami dziecka? Jak pani widziała mamę? Czy pani rozumiała w ogóle, co się wtedy działo tak naprawdę?

Irena Erchard: Lęk, dlatego, że bomby rozrywały się w powietrzu. Lęk. Straszny lęk. To dziecko przecież to czuje i widzieliśmy z bratem, że, o, jakieś małe orzeszki lecą. Orzeszki. A to bomby spadały. W powietrzu to one były czarne punkty.

Głos: No, tak. A mama właśnie była w ruchu oporu. Należała do ruchu oporu.

Irena Erchard: Była w ruchu, tak.

Głos: No, właśnie. I to, co się wszystko dookoła działo, jej działalność właśnie choćby i nawet, czy pani wiedziała, co się dzieje, czy pani chciała jej pomagać w jakikolwiek sposób?

Irena Erchard: Nie, ja byłam za mała.

Głos: Czy to w ogóle było możliwe?

Irena Erchard: Nie, nie, nie, nie. Ja byłam za mała. Ja byłam za mała, odsuwana. Nie.

Głos: A po wojnie mama opowiadała często o tym czy na przykład ciężko było, że nie chciała na przykład mówić.

Irena Erchard: Mama to jedno zdanie właśnie, którego nie powiedziałam, a chciałam powiedzieć. Jak Niemcy odkryli Katyń w 1943 roku, to powiedziała nam, że policję wymordowano w pierwszej kolejności, bo nie było w ogóle wiadomości od ojca. Był jeden jedyny list, więc dlaczego więcej listów nie było? To tak mama to czuła.

Głos: Ojciec pani męża również zginął na wschodzie.

Irena Erchard: Tak. Jako podporucznik rezerwy. Był kierownikiem szkoły na wschodnich terenach, ale nie dlatego, że oni stamtąd pochodzili, tylko dlatego, że Piłsudski tam swego czasu, to inteligencję z centralnej Polski wysyłał na wschodnie tereny, żeby po prostu obserwowali, bo tam były te ruchy komunistyczne bardzo silne, więc żeby tam zasiedlić innymi ludźmi trochę te tereny. Tutaj mam mojej mamy legitymację.

Głos: A dlaczego wydana w Londynie?

Irena Erchard: Bo tam, jak rząd polski powstał, to oni przecież całą ewidencję i całą, wszystkie prowadzili tam, w Londynie. To wszystko było w Londynie. Przecież tam był rząd polski, ten podziemny tak zwany. Drugi.

Głos: Dlaczego państwo postanowiliście wyprowadzić się do Warszawy? Jakie to były okoliczności w ogóle?

Irena Erchard: Proszę pana, ja już mówiłam, chodziło o szkołę, o edukację dzieci głównie. Mama wiedziała, że jeżeli się tu zbliżymy, to są lepsze warunki skończenia szkoły i w domu dzieci by były, a tak to trzeba dziecko wysłać na stancję czy wynająć. To przecież mamę na to nie było stać.

Głos: A to życie w Warszawie, tak na początku, pani mówiła właśnie, że były choćby i problemy z zamieszkaniem.

Irena Erchard: No, były.

Głos: Ze znalezieniem lokalu.

Irena Erchard: Były, oczywiście. Mieliśmy tam taki kąt, przepraszam, na Pradze, przy Bazylice. Na Pradze. I tam mama mieszkała, i tam... Tam kilka lat rodzinnych spędzili.

Głos: No, właśnie widzimy tę legitymację i pseudonim pani mamy.

Irena Erchard: Perła.

Głos: Perła. Właśnie bardzo pięknie. Chciałam zapytać o powody takiego pseudonimu. Nie wiem, czy może...

Irena Erchard: To nie wiemy, ale prawdopodobnie, że jako taka jedyna kobieta, która może się odważyła, bo może inne się nie odważyły, to była taka perełka wśród nich. Ja to tak rozumiem. A mieliśmy takich bardzo zaprzyjaźnionych ludzi, bardzo patriotycznych. Właśnie jeden z synów, Bohun, pseudonim Bohun, był u tego Zenona w tej akcji, jak tych lotników odbili. On uciekł, bo ktoś tam ich uprzedził, że Niemcy jadą do nich. Oni mieszkali w leśniczówce, pod lasem. Że Niemcy do nich jadą, będą aresztowania, to on wyskoczył przez okno i na konia wskoczył, i uciekł do lasu. I w ten sposób się uratował. Natomiast dwóch jego młodszych braci, on miał wtedy 23 lata, drugi 21 i 19 lat, i ojciec tam 40 kilka, około 50 lat, rozstrzelani zostali. Matkę zostawili. Też miała szczęście, bo też mogli ją zastrzelić.

I pamiętam, ta kobiecina chodziła po różnych domach znajomych ludzi i ukrywała się, bo ona bała się tam zostać. Niejednokrotnie przychodziła do nas, pukała w okno. Mama tylko wyglądała, kto i wtedy zabieraliśmy ją i wtedy był jeden pokój tylko dla niej przeznaczony, i zawsze były okna zamknięte, całymi dniami. Myśmy... Mama nam wytłumaczyła: „Słuchajcie, ta pani się ukrywa i nie może być inaczej". I tak przeżyła.

Głos: Proszę powiedzieć jeszcze, jak wyglądała w ogóle sytuacja podczas wojny właśnie na Podlasiu? Bo fronty się zmieniały, prawda? Było pewnie raz okupacja niemiecka, a później front sowiecki przeszedł.

Irena Erchard: Sowiecki, tak.

Głos: No, właśnie. Jak wyglądało to, jak to wpływało na codzienne życie?

Irena Erchard: Trudno było, ale ludzie musieli sobie radzić, po prostu. W czasie okupacji też bardzo dużo ludzi zginęło, byli rozstrzelani przez Niemców. Tu o tej rodzinie powiedziałam, a to właśnie stamtąd przecież oni. Dwóch młodych ludzi i ojciec. Najpierw byli w więzieniu w Siedlcach, później zostali wyprowadzeni, rozstrzelani i ten człowiek, który... On już też nie żyje, ten najstarszy, ale do niedawna jeszcze jak z nim rozmawiałam: „- Gdzie twoja rodzina, gdzie prochy? - Nigdy się nie dowiedziałem i nigdy nie wiem. Nigdy nie wiedziałem". W tym okresie, kiedy przebywaliśmy w okopach tak zwanych, słuchajcie, to były przeżycia nieziemskie, bo to po prostu dziura wykopana w dole, zamaskowana deskami i jakąś ściółką, słomą czy sianem, czy tam różnymi takimi polnymi chwastami i tylko otwór zostawiony, i tam się wchodziło, i wychodziło. Jeszcze raz powtarzam, że dla dzieci to była czasami uciecha, a zwłaszcza dla chłopców, którzy byli takimi kręcącymi się... Mój brat z dwoma kolegami, z tego dołu, jak tam swego czasu raz wyszedł, to pobiegł do lasu, bo te okopy zwykle były poza tą... Bo na przykład Sarnaki to była taka mała osada z rynkiem, z zabudowaniami i to było celem bombardowań. Natomiast, żeby uniknąć niebezpieczeństwa, to trzeba było tam jakieś dwa, trzy, pięć... No, może tam pięć, to nie, ale poza teren. Ktoś tam użyczał, że: „U mnie na tym terenie możecie państwo kopać i możecie przebywać", bo to jeszcze takie rzeczy były. Poleciał do lasu, bo tam lasy były na horyzoncie. W pewnym momencie widzi w krzakach tam dwóch czy trzech ludzi, bo szeleszczą krzaki. Przygląda się, a ktoś do niego mówi, do mojego brata: „Rysiu, Rysiu, chodź tu bliżej". On podbiega... To on do tej pory opowiada niejednokrotnie to. Podbiega i tamta osoba mówi: „Poznajesz mnie?", a on mówi, mój brat się odzywa: „Tak. Poznaję cię. Srulek". Żyd. Imię żydowskie. Srulek. „No, tak". To on chyba zapytał jeszcze tam jego brata o sytuację, więc brat chyba, nie wiem, co mu odpowiedział, ale ważną rzecz powiedział: „- Biegnij do mamy. Gdzie... - Ja tu z mamą jestem. Z rodziną tam...", powiedział gdzie, mniej więcej. „Biegnij do mamy i tylko powiedz swojej mamusi, że mnie spotkałeś. Tylko swojej mamusi". O czym to świadczy? O zaufaniu po prostu. A co robi mamusia, słuchajcie państwo. Łapie czy ktoś przyniósł, czy tam nie wiem, jak zdobyli kurę jedną, dwie, może codziennie jedną. Gotuje gar jedzenia i mój brat z tym drugim za uszy i niosą tam im do lasu. Kilka takich razy. Ale co dalej, jak się... Aha, i w pewnym momencie mój brat już był taki ucieszony, bo już się wojna skończyła, więc powiedział, że wychodzimy z okopów, w ogóle wracamy do domu. „To ja muszę zawiadomić tam w lesie Srulka". Srulek też wyszedł, bo już się przestali bać wszystkiego. I spotkali się później już z mamą tam na terenie Sarnak. Bo on był, to był nasz sąsiad. Dlatego tak brata rozpoznał i brat mu tak mówił po imieniu. Mama do niego... Aha, i on w pewnym momencie, mama go widzi z czerwoną opaską na ramieniu. Mama mówi: „- Srulek, co ty, do czego ty należysz, co to za opaska? - A,

teraz powstaje milicja. Teraz będzie nowy rząd i my tam coś", wiecie, coś na korzyść swojej nacji czy tam na korzyść własną, nie wiem. Mama mówi: „Srulek, ty się zastanów, co ty mówisz. Wojnę przeżyłeś i ty się bawisz teraz w politykę? I ty chcesz tam, zakładasz opaskę i kim chcesz być? - Milicjantem". Słuchajcie, pojechali na jakąś akcję na wieś, gdzieś tam pod Sarnaki, w niedługim czasie i chcieli aresztować jakiegoś gospodarza, który też może być akowcem, był akowcem, miał broń. Jak się zbliżyli do niego, jak on serię puścił tam gdzieś przez drzwi czy przez coś, tak Srulek momentalnie poległ. Przeżył wojnę i tak skończył. To też jako taka po prostu historyjka. Bo mój brat to często o tym opowiada. O ratowaniu, wiecie, Żydów, o tym, że nie pomagali. No, nawet w taki sposób. Przecież to był jakiś gest ze strony Polaka, prawda? Ale on to zlekceważył. On wolał władzę mieć.

Głos: Pani mówiła, że pani nie mogła mówić, że pani ojciec zginął w Katyniu. Jakie to było uczucie? Przecież pani ojciec był bohaterem, prawda?

Irena Erchard: No, tak. A nie można było mówić.

Głos: A nie można było mówić.

Irena Erchard: Oczywiście. To było przykre. To było bardzo przykre, ale myśmy czuli, człowiek żył w takim pewnym środowisku, gdzie dyskutowaliśmy o tym między sobą. Na zewnątrz oficjalnie nie, bo się czuło do kogo i komu można mówić, a komu nie.

Głos: A czy mieli państwo jakieś zaufanie między sobą?

Irena Erchard: No, byli ludzie tacy bliscy. Zwłaszcza z tego okresu przedwojennego, tam z terenu Sarnak, że mogliśmy o tym mówić, jak najbardziej. Zresztą ci ludzie też zostali rozproszeni po Polsce. Na przykład ta rodzina tych, z majątku, tam państwo Przesmyccy z Sarnak, rozparcelowali ich, zabrali majątek, a oni wyjechali do Gdańska, pamiętam, wtedy. To utrzymywaliśmy z nimi kontakt.

Głos: A później po 1989 roku, kiedy pani...

Irena Erchard: To już w ogóle otworzyło się okno. To już się czuło ten powiew tej wolności. Czuło się. Jak najbardziej.

Głos:
Jakby zechciała pani opowiedzieć, to jest pytanie odnośnie tej kartki z Ostaszkowa...

Irena Erchard: Tak.

Głos:
którą otrzymali państwo. To chciałabym się spytać, w jaki sposób ta kartka do państwa doszła.

Irena Erchard: Doszła.

Głos: I co było tam napisane na tej kartce?

Irena Erchard: Tak. „Kochana żono, kochane dzieci". My na pamięć żeśmy to znali. "Znajduję się w Rosji sowieckiej. Jestem żyw i zdrów. Przyjdzie czas, że niedługo zobaczymy się. Czy Rysio i Ircia - ojciec pyta o mnie, bo ja mam Irena i o brata - czy Rysio i Ircia często mnie wspominają? Jak zdrowie twoje i dzieci? Często widzę was we śnie i wspominam was. Przyjdzie czas, że niedługo zobaczymy się". O, tak, tego typu kartka. Otwarta oczywiście. A ta koleżanka, o której wspominałam, pani Witomiła Wołk-Jezierska, ta plastyczka, to ona takie zdolności literackie też ma i ona bardzo dużo wierszy napisała pod adresem tego nieżyjącego ojca. Jej ojciec w Katyniu z kolei. „Mam cię tuż przy sobie w grudce ziemi". Tak pisze o tej ziemi katyńskiej. „W igle sosnowej. W atomie kości zaistniałeś". I tak dalej, i tak dalej, bo nie wszystko pamiętam. Te jej wiersze, to jej poezja czasami się tam przewija. Słuchajcie państwo, też bardzo ciekawa sprawa, bo to była głęboka prowincja. Ciągle to podkreślam. Te Sarnaki. Tak zwana pipidówa. Mało ludzi, mało zabudowań, ale bardzo patriotyczna, wszyscy się znali, kochali i szanowali. I nie wiem, dlaczego, tego to ja nie wiem do tej pory, dlaczego, poczta była... To był rok... W którym, w 1940 napisana była. To w 1941 roku przyszła. Przecież to była okupacja. I... Aha, za tydzień urodziła się moja siostra, po tym liście. Mama była taka szczęśliwa, że napisze ojcu o tym urodzonym dziecku. I moja siostra do tej pory nie wie, czy ten list doszedł, bo... Ale mówi: „Cieszę się, bo na pewno nie jestem pogrobowcem, bo jeżeli się urodziłam 29 lutego, a ojciec był prawdopodobnie rozstrzelany 22 kwietnia, to nie. To nie była. Ojciec żył. Tylko tyle, czy otrzymał tę wiadomość, to my nigdy nie dowiedzieliśmy się o tym i nigdy się nie dowiemy. Chyba, że zmusimy Rosjan jeszcze do wydania teczek osobowych tych zamordowanych. To tam mogą być różne rzeczy jeszcze. Ale ja chciałam jeszcze coś... Aha, jak on przyszedł. Nie wiem, czy to była moda, czy to był taki rozkaz, że listonosz nie chodził po całej miejscowości z listami, tylko umówiona była godzina i on przed pocztą wyczytywał głośno, że jest korespondencja tam do tej i do tej osoby. I ja z bratem, myśmy tam codziennie, miesiącami chodziliśmy, bo czekaliśmy na jakiś list od ojca. Słuchajcie, pewnego dnia do nas list. Wyobrażacie sobie, co te dzieci czuły? Jak one biegły do matki do domu? Nie wiem, czy nam się nogi wtedy nie poocierały i mało nie połamaliśmy. W taki sposób właśnie przyszedł ten list. To była radość niesamowita.

Głos: Jak to było, kiedy mama zobaczyła list?

Irena Erchard: Może już tego tak nie bardzo pamiętam, ale też się cieszyła z nami. Na pewno nas tuliła do siebie, że tata napisał, tata żyje. Żyje. To było pierwsze ważne. Że żyje. Jeszcze opowiem o tej ekshumacji prokuratorskiej w 1991 roku w Miednoje, gdzie pojechaliśmy na pogrzeb. Właśnie te zdjęcia tutaj pokazywałam panu. I była wielka uroczystość. Msza święta z księdzem Peszkowskim. I słuchajcie państwo, co było ciekawe. Podczas ekshumacji rewidowane były... Bo oni tam znajdowali całe postaci, słuchajcie. Mundury jeszcze były. I oni znajdowali w kieszeniach świeczki. I te świeczki paliły się na ołtarzu. Ale ja muszę jeszcze coś powiedzieć, jak zostali sprofanowani. Co to znaczy kultura wschodnia? Podobno w ich kulturze, bo nie wierzę chyba, bo to chrześcijanie, to jest tak, że na pochówku, na miejscu pochówku wroga to trzeba zbezcześcić je swoimi ekstremaliami. Po prostu. I tam porobili sławojki na terenie tego lasu i słuchajcie, i to wszystko na nich spływało. Ale były momenty takie, że te sprawy zakonserwowały kolor mundurów i czasami całe postacie. Słuchajcie, to było okropne. Bo ci, którzy pracowali, to w ogóle nie mogli później

dojść do siebie. Psychikę mieli zwichniętą. Bo były całe twarze z wąsami czy tam z jakimś wyrazem twarzy czy tam coś jeszcze, coś jeszcze. Takie były momenty.

Głos: A te teczki, które są w Rosji?

Irena Erchard: To są.

Głos: No, właśnie, ale...

Irena Erchard: Ale jak je zdobyć?

Głos: co zawierają właśnie? Skąd wiadomo, że są i...

Irena Erchard: Prawdopodobnie jakieś może przesłuchania, bo prawdopodobnie w obozach były przesłuchania. To jakieś zapiski, możliwe, że korespondencja. Na pewno tak, bo ja gdzieś czytałam na ten temat, że znaleziono jakiś list, ale to już przy ekshumacji. List, fotografię rodzinną. Na to liczymy, że my to jeszcze po orzeczeniu trybunału, odzyskamy. Ale zobaczymy.

Głos: No, właśnie, a czy to nie jest tak, że trzeba odnosić się, iść z tą sprawą aż do Strasburga?

Irena Erchard: Nie ma jak, bo oni w ogóle się nie przyznają i oni w ogóle nic... Oni mówią, że nie ma... Słuchajcie państwo, oni twierdzą, że oni nie mają żadnych dokumentów. A my mamy w Polsce dokumenty. Przecież my mamy te dokumenty, które Pichoja przywiózł, które Jelcyn oddał Jaruzelskiemu, tam swego czasu. Przecież one przyjechały do Polski i one są u nas, i to były listy obozowe, i z nazwiskami, z numerami. To były bardzo dokładne dokumenty. I mi tymi dokumentami się podpieramy w tej chwili, pisząc do nich. Bo my z prokuraturą wojenną rosyjską korespondujemy. Ale to pewna mała grupa ludzi. Bo nie przystali wszyscy, ale to nie dlatego. Po prostu nie wiedzą ludzie. Później jak my zakończymy i zwycięsko z tego wyjdziemy, na pewno będzie to ogłoszone, to będą pluli sobie w brodę, że dlaczego nie my.

Głos: A nie ma pani żalu do polskich na przykład władz, że w ogóle nie zajmują się tą sprawą? Że nie chcą wziąć w swoje ręce?

Irena Erchard: Mam żal. Oczywiście, że mam żal. Ale podobno to już po tak długim czasie, to już jest sprawa właściwie rodzin, a nie kraju. Może w tej chwili nie chcą zadrażniać z Rosją. A my, rodziny, się tego nie boimy. To jest jeszcze tak. Przecież ta polityka to zawsze istnieje.

Głos: No, właśnie. Ale to trochę przykre, że w tym momencie wchodzi...
Irena Erchard: No, przykre. Przykre, ale ponieważ znalazł się ktoś, kto opracował to i kto dodał nam odwagi, to my jesteśmy bardzo wdzięczni i przystąpiliśmy do tego.